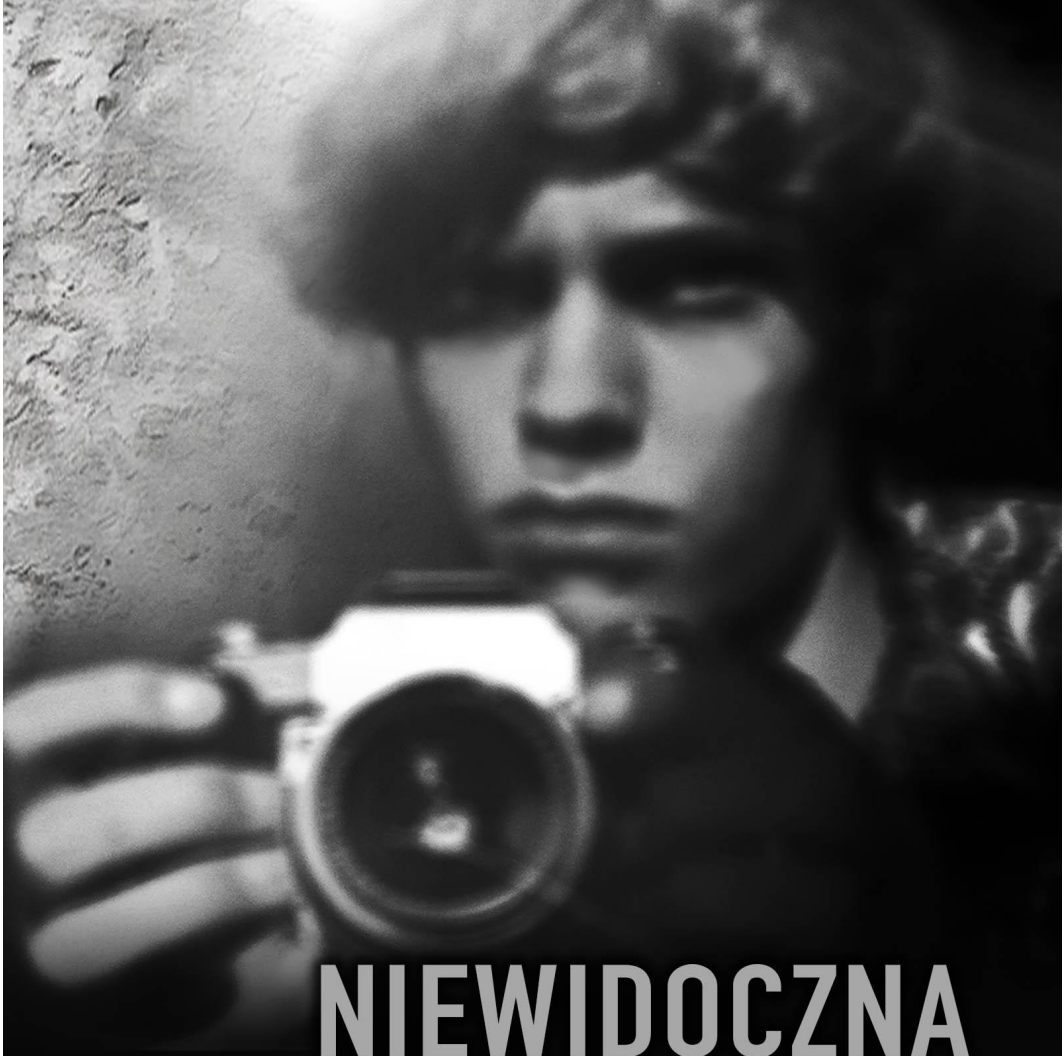

NIEWIDOCZNA STRONA

Aleksander Rybczyński

Aleksander Rybczyński

NIEWIDOCZNA STRONA

Polska Canada Press 2026

Wstęp

Książka, którą trzymacie Państwo w rękach, stanowi kronikę świata, który na naszych oczach powoli zanika. Jest to świat prawdziwych wartości, autentycznych relacji: miłości, przyjaźni oraz wierności ideałom, które potrafią przetrwać próby, jakim poddaje je wrogi człowiekowi świat. Jak kropla drąży skałę, tak wierność ideałom — powoli, lecz wytrwale — drąży twardy grunt obojętności.

Czy to koniec Zachodu, jaki wiek XX, wiek świadomości i samotności, ukonstytuował — jak błędnie sądziliśmy — na zawsze? Jeśli tak, to czy triumfem zła okazało się to, iż wszystko stało się nam obojętne?

Dla bohaterów tej książki nic takim nie jest. Wybierzmy się w tę podróż z nimi. Przypomnijmy sobie, jak to jest: szukać drogi, kierując się mapą; pisać listy na kartce lub maszynie do pisania; robić zdjęcia prawdziwym aparatem fotograficznym; zgubić się w górach albo — na przykład — naprawdę kochać czy wierzyć w cokolwiek.

Przypomnijmy sobie, choć na chwilę, co to znaczyło: mieć prawdziwe życie.

Dominik Kiepura

dla Hani

Część pierwsza

Pożegnalny rejs

Jan rzucił żeglarski worek na koję i wyszedł na pokład. Przez jego głowę przetaczała się burza myśli i zmieniające się, jak w kalejdoskopie, obrazki z wydarzeń ostatnich dni i tygodni. Najtrudniejsze było pożegnanie z żoną i jedenastoletnim synem. Dziecko nie miało pojęcia, jak karkołomne wyzwanie podejmuje ojciec. Chłopiec był przekonany, że tata płynie jachtem do Kopenhagi, gdzie dostał trzymiesięczne, naukowe stypendium, po czym wróci i życie dalej potoczy się spokojnym, bezpiecznym trybem. Alicja wiedziała, że ich wspólny los położyli na chwiejnej szali, a plany emigracji i rozpoczęcia nowej kariery za granicą nie zależą tylko od ich determinacji i przedsiębiorczości. Byli na łasce państwa, dążącego do komunizmu i pełnej kontroli nad ludnością. Granic strzeżono jak murów więzienia i wszystkich, opuszczających kraj na stałe, traktowano jak uciekinierów, których czekał cały wachlarz konsekwencji. Najbardziej oczywiste i rutynowo stosowane było prześladowanie pozostałej w kraju rodziny. Alicja miała zostać ofiarą zbiorowej odpowiedzialności i razem z dzieckiem stać się zakładnikiem. To ich los miał szantażować zbiega z ojczyzny sprawiedliwości dziejowej.
Jan zapinał sztormową kurtkę, pod którą wdzierał się wilgotny, wiosenny wiatr, niosący zapach soli i mokrego drewna. Z oddali dobiegał metaliczny zgrzyt portowych dźwigów. Bliskość morza nie dawała jednak poczucia przestrzeni. Wiedział, że jest na granicy dwóch światów, zupełnie inaczej dostrzegających piękno i według innych kryteriów oceniających wartość życia. Nie myślał teraz o rodzinie. Obietnica czekającej na niego wolności była tak silna, że problemy, przeszkody i niebezpieczeństwa wydawały się błahe i drugorzędne. Miał wrażenie rozpoczynania nowego etapu i podekscytowany był myślą o czekających go wyzwaniach. Odpowiadała mu rola samotnego naukowca, bliskiego wielkich odkryć, zdolnych do otworzenia szerokich perspektyw, drogi do sławy i pieniędzy. Czekała go jeszcze odprawa celna i paszportowa;

wiedział, że funkcjonariusze graniczni wpadną pod pokład i będą przetrzepywać wszystkie zakamarki jachtu, by znaleźć zakazany towar, rzucać podejrzliwe spojrzenia i zadawać podchwytliwe pytania, prowadzące do zabrania paszportu i nakazu opuszczenia jachtu. W sąsiedniej koi rozlokował się Burski. Nie miał pojęcia o żeglarstwie - udział w rejsie załatwiła mu Alicja przez Związek Żeglarski. Jan podejrzewał, że jest agentem SB, którego zadanie było proste: mieć na niego oko. Może już teraz, prewencyjnie, doniósł na Jana i wszelkie marzenia o wielkim świecie, ucieczce i wolności zakończą się gorzko na szarym wybrzeżu portu w Świnoujściu. Denerwowała go nienaturalna swoboda i poufałość tego budzącego lęk załoganta.

— Nareszcie wypływamy na szerokie wody i nikt nas nie będzie obserwować — powiedział Burski, zerkając na oryginalny worek żeglarski Jana z emblematem nieistniejącego już, założonego przed wojną Akademickiego Związku Morskiego.

Ten ignorował te zaczepki, tym bardziej że na pokład weszli już funkcjonariusze służb granicznych.

Celnik niedbale przeglądał wyrzucone z worka na koję rzeczy Jana. Jego uwagę zwrócił gruby zeszyt, gęsto zapisany równym, ale trudnym do odczytania pismem.

— Co to, obywatelu, piszecie pamiętnik, jak jakaś panienka?

— To moje notatki do powieści — odpowiedział Jan, jakby z zakłopotaniem, tym bardziej naturalnym, że wśród skrupulatnie zapisanych kartek były notatki z pracy naukowej nad szczepionkami. Był przekonany, że jego badania są zupełnie odkrywcze i mogą być przepustką do prawdziwej kariery i przełomowych wynalazków.

To przekonanie stwarzało nawet pretekst do oryginalnych zabaw z synkiem w przepowiadanie przyszłości. Podpalali bibułki owijające pomarańcze – te, które władze „rzucały" na rynek przed świętami – i obserwowali, czy płonący papierek uniesie się pod sufit. Jan wierzył, że jeśli tak się stanie, to będzie znak, że otrzyma Nobla za przełomowe odkrycia. Ta zabawa nie świadczyła o szaleństwie - perspektywa tej nagrody była realną oceną jego talentu i osiągnięć.

— Powieść, powiadacie? – celnik uniósł brew, przewracając kartki zeszytu. — A o czym to? O miłości, czy o szpiegach?
— O wolności — odparł Jan, starając się, by jego głos był obojętny i spokojny. Nie mógł wspomnieć, że prawdziwą fabułą jego historii są naukowe eksperymenty, zdolne zrewolucjonizować szczepionki. W tle tej narracji zapisywał niespodziewane odkrycia, które mogłyby zostać wykorzystane do badań nad bronią biologiczną. Jan specjalizował się w mikrobiologii medycznej, badając zarówno wirusy jak i bakterie chorobotwórcze. Wiedział, że jego metody stabilizacji bakterii mogą uratować miliony – lub stać się narzędziem zagłady w złych rękach. Ten sekret nigdy nie powinien wyjść poza laboratorium. Miał nadzieję, że kontrola zakończy się na tej konwersacji, tym bardziej że w szerokim, bawełnianym pasie uchwytu żeglarskiego worka krył się mikrofilm z dokumentacją wieloletnich badań.
Celnik machnął ręką i odstąpił od dalszych czynności służbowych. Niektórzy pisarze byli na garnuszku wydziału propagandy wiodącej partii, a w takiej sytuacji nadgorliwość mogła być tylko źródłem kłopotów.
Paszport został podbity, celnicy zeszli z pokładu. Jan dyskretnie dotknął pasa worka, upewniając się, że mikrofilm jest na miejscu. Poczuł ulgę i lekkość, jakby skrzydła wyrosły mu z pleców, przytłoczonych ciężarem realnego socjalizmu. Kapitan Zwalisty szybko zrobił odprawę załogi, rozdzielając wachty. Obok Burskiego, w załodze był jeszcze Witold, student Akademii Medycznej. Jan spojrzał na dowodzącego jachtem, na jego pooraną zmarszczkami twarz, kryjącą tajemnice, o które nikt nie śmiał pytać. Poznał kapitana podczas swojego pierwszego bałtyckiego rejsu. Budził zaufanie, mówiono, że po wojnie powrócił do Polski, jako żołnierz armii generała Maczka. Miał zostać aresztowany i skazany za szpiegostwo na dożywocie w stalinowskim więzieniu i wyjść na wolność po kilku latach, w czasie „odwilży" po śmierci Stalina. Jan nie wiedział, czy to prawda, bo kapitan nigdy nie opowiadał o swoim życiu. Może zapisał się do partii, by uzyskać zgodę na prowadzenie

pełnomorskich rejsów? – myślał Jan i było mu przykro, że Zwalisty na pewno będzie miał przykrości po zejściu członka załogi z jachtu w Kopenhadze. Po odprawie kapitan nakazał odcumowanie i przed dziobem ukazały się wyraźne światła wyjścia z portu.
„Karolinka" dzielnie przecinała fale. Północno-wschodni wiatr o sile 3 stopni Beauforta sprzyjał żegludze. Przez dłuższy czas na relingu odpoczywała zmęczona mewa. Jan też czuł się znużony po gehennie przygotowań do wyprawy, która miała zmienić całe jego życie i życie jego rodziny. On również pragnął rozwinąć skrzydła i szczęśliwie dotrzeć do portu przeznaczenia. Na razie musiał słuchać nudnych opowieści Burskiego, który przyznał się, że przemycił na jacht pięć butelek wódki i zastanawiał się, w jaki sposób będzie je mógł sprzedać w Kopenhadze. Kiedy przestała mu doskwierać morska choroba, otworzył jedną z flaszek i nalał sobie od serca. Nie zważając na zakaz kapitana, próbował częstować załogę. Jan, podobnie jak Witold, odmówił. Burski, poprawiając kołnierz, przyglądał mu się długo i badawczo, jakby chciał przejrzeć jego myśli. Jan starał się tym nie przejmować, chociaż nie był pewien, czy wybryki agenta czynią go mniej niebezpiecznym. Ten nie przejął się odmową i dalej samotnie sączył alkohol. W pewnym momencie nachylił się w jego stronę z kiepskim żartem:
— A ty, doktorze, co planujesz w Kopenhadze? Mała Syrenka na nabrzeżu, czy te żywe syrenki na Vesterbro?
Przemilczał tę zaczepkę, krzywo się uśmiechając.
Podpity esbek nie stawił się na północnej wachcie, która była mu wyznaczona. Jan musiał go z konieczności zastąpić. W sumie jednak był zadowolony, że cała uwaga kapitana skupiła się na niesubordynowanym, nietrzeźwym załogancie, zostawiając go w cieniu z sekretnym planem. Miał on naprawdę zakłócić przebieg rejsu i stać się sensacją. Siedział przy sterze, wpatrując się w ciemne morze. Wsłuchiwał się w szum Bałtyku, chłonąc zapach jodu, ryb i wodorostów. Zimne bryzgi wody uderzały o sztormiak. Był częścią nieposkromionego żywiołu, w którym jest miejsce na przygodę, nieskrępowaną wyobraźnię i odwagę, sprzyjającą marzeniom. Nagle

wiatr przybrał na sile, szarpiąc żaglami. Mocniej chwycił ster, czując, jak „Karolinka" walczy z falami, jakby chciała mu przypomnieć, że wolność wymaga pewnej ręki na sterze.
Spojrzał na horyzont, gdzie morze zlewało się z szarym niebem. Przy takim wietrze powinni dotrzeć do Kopenhagi w półtorej doby, jeśli nie zaskoczy ich sztorm, albo flauta.
Kapitan Zwalisty wpatrywał się w mapę morską.
— Półtorej doby, jeśli Øresund nas nie zatrzyma — powiedział pod nosem, poprawiając kurs. Jan wiedział, że prądy w cieśninie mogą spowolnić „Karolinkę", a każdy dodatkowy dzień na morzu to większe ryzyko, że Burski przejrzy jego plany.
Na szczęście kapitan trzymał kurs tak, jakby brali udział w regatach. Żagle były optymalnie wybrane, jacht sunął pewnie swoim turystycznym tempem. Jan z żalem pomyślał, że byłoby dobrze płynąć dalej - śladem Władysława Wagnera, Alaina Gerbaulta i innych dzielnych żeglarzy, dla których morska przygoda i odkrywanie nowych horyzontów stały się celem życia. Jego plan był mniej romantyczny, ale równie niebezpieczny. Załoga nie rozmawiała wiele; w małej kajucie każde wypowiedziane słowo było słyszane przez wszystkich. Zwalisty rzucił Janowi krótkie spojrzenie, jak gdyby czegoś się domyślał. Załoga była pochłonięta swoimi myślami i tylko Burski starał się nawiązywać konwersacje, licząc, że uda mu się zebrać interesujący materiał dla oficera prowadzącego. Kiedy Jan wrócił z wachty, zauważył, że jego worek został przesunięty. Pochylił się nad koją i dyskretnie upewnił się, że wszystko jest na swoim miejscu. Nabrał przekonania, że agent wykorzysta każdą okazję, by grzebać w bagażu pozostałych żeglarzy. Czwarty członek załogi, student medycyny na urlopie dziekańskim, był entuzjastą fotografii. Zafascynowany dynamicznym majestatem morza, w wolnych chwilach zmieniał tylko rolkę filmu za rolką, starając się uchwycić w kadrach aparatu Praktica ulotne momenty rejsu, pierwszej morskiej przygody początkującego żeglarza. Robił także zdjęcia portretowe załogi, które byłyby szczególną pamiątką dla uciekiniera, gdyby

kontakt z amatorem fotografii nie miał urwać się na zawsze w Kopenhadze.
— Będzie bogaty materiał dowodowy — Jan uśmiechnął się do siebie, pozując do zdjęć Witolda.
Przed południem wiatr zmienił się na północny i kapitan, nie chcąc iść na silniku, musiał parę razy zmienić hals. Zrobiło się zimno i nawet grube swetry pod sztormiakami nie chroniły przed przenikliwym chłodem. Na szczęście weszli już do cieśniny Øresund. Jan wiedział, że niedługo zobaczą Langelinie Yacht Harbour.
Leżał w koi, odwrócony w stronę burty i słuchał, jak fale uderzają o kadłub „Karolinki". Ten dźwięk znał z dawnych rejsów - mazurskich i suwalskich. Wtedy gonił na motocyklu od portu do portu, szukając Alicji, by wspólnie popłynąć ku Czarnej Hańczy. Tutaj jednak emocje były zupełnie inne. Czuł się rozdarty między dwoma światami: tym oswojonym pod pokładem, gdzie powracały wspomnienia i znajoma kotłowanina dotychczasowego życia w Polsce, a tym nieznanym i nieprzewidywalnym - w nieograniczonej głębi morza i otwartego nieba, które miały mu dać wolność i nowe życie. Czuł absurd i nienormalność swojej sytuacji: otrzymał trzymiesięczne, naukowe stypendium w Nordisk Institute, z którego oficjalnie nie mógł skorzystać. Ani jego macierzysta Stacja Mikrobiologii Klinicznej, ani Wojewódzka Organizacja Partyjna trzymająca łapę nad działalnością badawczą, ani służba bezpieczeństwa i Wydział Paszportowy nie wydaliby zgody na taki wyjazd. Udało mu się jedynie uzyskać jednorazowy paszport na rejs bałtycki do Kopenhagi. W ten sposób mógł wydostać się za granicę jako uciekinier z „bloku wschodniego" — wystarczyło zejść z pokładu w porcie, by „wybrać wolność", paląc za sobą mosty, przyjmując rolę banity i „zdrajcy socjalistycznej ojczyzny".
Jeszcze parę dni temu siedział z kolegami w restauracji hotelu Monopol przy ulicy Dworcowej, tuż za rogiem Rynku. Kelner, podając zamówienie, lubił przypominać, że w tych samych salach bywał kiedyś Artur Rubinstein, a Jan Kiepura wyprawiał tu huczne wesele ze swoją węgierską gwiazdą filmową — opowieść, którą

słyszeli już z dziesięć razy, ale zawsze robiła wrażenie na nowych gościach. Teraz przybytek świetności dawnych lat trochę wyblakł, obity pluszem i przytłoczony ciężkimi zasłonami, choć wciąż uchodził za jedno z niewielu miejsc w Katowicach, gdzie można było spokojnie porozmawiać przy stoliku, nie przejmując się, czy ktoś postronny nie nadstawia ucha.

Spotykali się tam raz w tygodniu, zamawiając golonkę z chrzanem i parę setek żytniej. Zwykle, jeżeli stolik był wolny, siadali w narożniku lokalu z widokiem na ulicę, którą przejeżdżały czerwone tramwaje i nieliczne samochody osobowe, najczęściej Syrenki i Warszawy. Te ostatnie zwykle były używane przez milicję oraz kursowały jako taksówki. Skład uczestników kolacji był regularny: Jan, znany ginekolog Juraszek, zastępca dyrektora Instytutu Górnictwa Nawrocki i czasami ordynator oddziału szpitala w Siemianowicach Strzelewski. Te męskie wypady pozwalały oderwać się od monotonii pracy, pełnej także politycznych i kadrowych zasadzek oraz powrócić do wspomnień beztroskiego kumplostwa mijającej młodości. Wszyscy byli już po czterdziestce i zaczynali odczuwać lęk przed widmem zmarnowanego życia.

Ostatniego wieczoru rozmowa jakoś się nie kleiła. Zmagali się z parującymi kawałkami golonki, wznosząc tradycyjne toasty: „no to cyk", „chluśniem bo uśniem",„obyśmy się spotkali za rok w równie dobrym gronie", a Nawrocki, jak zwykle po trzecim kieliszku, wypowiadał swoje ulubione „bywajcie zdrowi!". Zazdrościli Janowi rejsu, o którym opowiadał oszczędnie, z obawy przed zdradzeniem prawdziwych planów. Nie chciał okłamywać kolegów, ale z zasady nie można było nikomu ufać. Czy ktoś domyślał się, że Jan już nie wróci? Toast za przyszłoroczne spotkanie zabrzmiał tym razem jak aluzja. Po ostatnim kieliszku „pod tego Nobla" Strzelewski uścisnął mu dłoń wyjątkowo mocno i mrugnął tylko porozumiewawczo, dając do zrozumienia, że zna kod posłusznego milczenia i zgody na ograniczoną wolność szczerości.

Powoli zbliżali się do Kopenhagi; po prawej stronie widać było brzegi Szwecji. Jan zauważył mijające się w pół drogi promy, łączące stolicę

Danii z Malmö. Życie toczyło się spokojnym rytmem i miał wrażenie, że zbliżając się do jachtowego portu Langelinie, staje się częścią harmonii nieznanej w kraju, z którego przybywał. Zobaczył las masztów za falochronem. Przy kopenhaskiej Syrence tłoczyła się spora grupa turystów. Patrzył na piękną rzeźbę, łączącą dwa odmienne światy. Syrenka, mała i nieugięta, patrzyła na morze, jakby zastanawiała się, czy dobrze przemyślał swoją decyzję. Popołudniowe słońce lśniło na spatynowanym brązie.
„Karolinka", ze zrzuconymi żaglami, na silniku, manewrowała w niewielkim basenie portowym, by zacumować w wyznaczonym miejscu. Załogę czekała odprawa celna i paszportowa w kapitanacie portu. Założyli na życzenie kapitana schludne drelichy. Zwalisty miał na sobie kapitański mundur. Tak przygotowani zeszli na molo i poszli do biura. Na pytanie duńskiego urzędnika o cel wizyty kapitan spokojnie odpowiedział
— Turystyczny i żeglarski.
Prezentował się, jak prawdziwy wilk morski; urzędnik tylko się uśmiechnął, podbił paszporty i na koniec życzył żeglarzom miłego pobytu.
Zadowolona załoga wracała z paszportami na jacht. Tylko Burski został w tyle, nadal kręcąc się wokół kapitanatu. W porcie unosił się zapach pokładów luksusowych jednostek, a głośne rozmowy turystów przy Syrence zagłuszały odgłosy wody, uderzającej o burty. Jan czuł na ustach smak morza, przypominającego mu o nieodwracalności jego ucieczki. Witold przystawał co chwilę, fotografując. Oświetlone zachodzącym słońcem kadłuby prężyły się dumnie, jakby pozując do kompozycji.
— Może pójdziemy zrobić sobie zdjęcie przy Syrence? To pewnie jedyna okazja?
Zwalisty przystał na tę propozycję i poszli w trójkę w stronę morza i melancholijnej rzeźby. Witold był w swoim żywiole, mierzył światło, zmieniał obiektywy, rozgorączkowany szukał wyjątkowych kadrów. Kapitan wykorzystał ten moment i zbliżył się do Jana.
— Jakie ma pan plany, doktorze? Jest pan zdecydowany?

Jan zmieszał się i z niepokojem spojrzał na niego.
Ten uśmiechnął się smutno i powiedział:
— Zbyt wiele w życiu przeszedłem, by nie domyślić się, że pan już nie wróci do Polski.
Szczerość, a może podstęp szypra, zupełnie go zaskoczył.
— Wróciłem do Polski po wojnie, to wydawało się najlepszą decyzją, chociaż wielu ostrzegało przed jej konsekwencjami. Nie chciałem słuchać rad Kazimierza Wierzyńskiego. Aresztowano mnie na gruzach Warszawy, kiedy robiliśmy sobie zdjęcie przed ruiną kamienicy, w której mieszkała moja rodzina. Pech chciał, że w tle znajdował się zburzony most Kierbedzia, co okazało się dowodem szpiegostwa i wystarczającym pretekstem, by prokurator zażądał kary śmierci. Sąd, z uwagi na mój młody wiek, zamienił karę na dożywocie. Wyszedłem z więzienia po ośmiu latach w 1954. Wyrok zniszczył mi zdrowie, pozbawił szansy na normalne życie i rodzinne szczęście. Jeśli pan ma, doktorze, możliwość urządzenie się na Zachodzie, realizacji swoich planów zawodowych - niech się pan nie waha. Trzeba być wyczulonym na głosy wolności, które daje nam los. Odzywają się tylko raz.
Jan słuchał, ale kapitan nie oczekiwał odpowiedzi. Wiedział, w jak trudnej sytuacji jest jego załogant, wiedział, że nie ma powodu, by całkowicie mu zaufać i zdać się na jego łaskę. Zdarzały się sytuacje porywania uciekinierów przez agentów ambasady, aresztowania ich na terenie eksterytorialnych budynków PRL, a potem nielegalnego przewożenia nieszczęśników z powrotem do Polski.

Dalszy ciąg w książce

To jest fragment powieści „Niewidoczna strona". Jeśli chcesz poznać dalszy ciąg tej historii, możesz zdobyć całą książkę na dwa sposoby.

E-book w cenie 15 zł: kup na Naffy

Zaproś autora na kawę, a w rewanżu otrzymasz książkę: buycoffee.to/alekrybczynski

© Aleksander Rybczyński · Polska Canada Press 2026